

Rachunek sumienia i w drogę

MAGAZYN

20.11.2009

O chirurgicznych rękach, ucieczce w kartoflisko, wojennej tułaczce, Januszu, który uciekł z Pawiaka, intrydze ciotek rezydentek, nauce pielęgniarstwa w wiejskim ośrodku w Michowie, brawurowym rajdzie zisem, wilkach, strachu, Jacusiu, który został w Puławach i wdzięcznych michowianach z profesor Marią Modzelewską, pediatrą, rozmawia Ewa Czerwińska.



Profesor Maria Modzelewska: - Czego się nie robi z miłości...
Fot. Jacek Babicz

Medycyna była Pani przeznaczeniem?

Chyba tak, bo już w liceum im. Unii Lubelskiej nasza pani profesor Pliszczyńska, łacinniczka mówiła mi: Irena, ty masz takie chirurgiczne ręce. Wąskie dłonie, długie, smukłe palce... Może zostaniesz lekarzem?

Irena? Przecież ma Pani na imię Maria.

No tak, ale Irena to imię, które wymyślili dla mnie rodzice. Jednak wówczas nie było mowy, żeby nadać dziecku imię inne niż jakiegoś świętego. Na chrzcie w Rzeszowie, gdzie się urodziłam, dosłownie nad chrzcielnicą propozycja rodziców upadła. Irena - nie. Więc mama podała pierwsze imię, jakie jej przyszło na myśl: Maria. I tak mnie ksiądz urządził! Ale ja i tak przez długi czas używałam drugiego imienia Irena. Kiedy rodzice przenieśli się do Lublina? Gdzieś w 1925 czy 26 roku. Ojciec, wcześniej sędzia wojskowy, objął w Lublinie posadę radcy prawnego Urzędu Wojewódzkiego. Zamieszkaliśmy w willi przy ul. Wieniawskiej 7. W sąsiedztwie mieszkał wojewoda i inni wysocy urzędnicy. W 1939 roku zrobiłam maturę. W nagrodę za dobrze zdany egzamin moja ciotka Wanda Chmielewska ze Śląska wykupiła mi bilet na rejs Batorym do Norwegii. Byłam szczęśliwa. Niestety, wybuchła wojna. 9 września mieli ewakuować urzędników. Jesień była ciepła, a my ubraliśmy się jak na Sybir, bo każdy mógł wziąć ze sobą tylko jedną walizkę. Pamiętam, jak ojciec mocuje nasze bagaże na półkach autobusu, a matka trzyma sznur i wtedy zaczynają walić bomby. Uciekaliśmy w kierunku dzisiejszego Czechowa, na łąki nadrzeczne i pola. Padliśmy w kartoflisko. Nalot trwał około godziny. Wróciliśmy utyłani w ziemi i ojciec mówi: Nigdzie już nie jedziemy. Jak mamy zginąć, to lepiej w swoim mieszkaniu. Ta decyzja uratowała nas od wywózki na Wschód i niechybnej śmierci.

Urząd działał jak przed wojną?

Niemcy wprowadzili swoje porządki. Zaczęli zwalniać polskich urzędników, wprowadzając na ich miejsce swoich. Powstał District Lublin. Przybysze potrzebowali pomieszczeń, dlatego wyrzucono nas z mieszkania. Dali nam inne lokum, na Wieniawskiej 6, po Żydówce, która miała mydlarnię na Lubartowskiej. A jak Żydów zamknęli w getcie, znów nas wyrzucili na Lubartowską 14, do obskurnej kamienicy, gdzie na klatce schodowej grasowały szczury, a w mieszkaniu pluskwy. Próbowaliśmy je tępić paląc świece siarkowe, ale prawie bez rezultatu. To była mordęga! Jeszcze po wojnie robactwo przetrwało w ramach obrazów.

Pani pokolenie musiało szybko wydorosnąć.

Wojna jest straszna, ale młodość ma się tylko jedną. Był reżim, zamknięto KUL, lokale użytkowe, żeby młodzi się nie mogli spotykać, ale za to wymyślono prywatki. Na jednej z nich poznałam Janusza Modzelewskiego, absolwenta Wydziału Lekarskiego UW. Za pracę w konspiracji został zamknięty na Pawiaku. Miał ogromne szczęście, bo lekarzem więziennym był dr Loth, syn słynnego prof. Edwarda Lotha, anatoma i antropologa, kolega Janusza ze studiów. Ułatwił mężowi ucieczkę. Prawdopodobnie wyjechał z tego piekła pod stosem trupów.

Mąż opowiadał Pani tę historię po wojnie?

Unikał tematu. Nie chciał pewnie przeżywać tej historii jeszcze raz. Po ucieczce musiał wyjechać z Warszawy. Nie mógł też wrócić do Sarnak, gdzie jego rodzina - szlachta zagrodowa z pięknymi tradycjami - miała niewielki majątek. Mieszkała tam babka, która wychowywała małego Janusza po śmierci jego matki. Zatrzymał się w Lublinie, u starej ciotki. Zaczął nawet wolontariat w szpitalu u szarytek, pod okiem profesora Zakrysia, ale gestapo zaczęło za nim węszyć i w końcu ktoś mu poradził, żeby zaszył się w jakiejś małej miejscowości wśród lasów, gdzie będzie posterunek żandarmerii niemieckiej. I to był Michów, 25 kilometrów od Lubartowa. Stamtąd przyjeżdżał do mnie do Lublina. Spotykaliśmy się w naszym mieszkaniu, bo pannie i kawalerowi nie wypadało inaczej. Mieliliśmy się ku sobie.

I ślub?

Babka z Sarnak zaniemogła, więc Janusz zaproponował, żebyśmy razem do niej pojechali. Pojechaliśmy, a tam ciotki rezydentki - ażeby babcia mogła ewentualnie umierać spokojna o wnuka - uknuły ślub. Zapowiedzi za indultem,

pożyczona biała bluzka dla mnie, weselne przyjęcie - wszystko te zacne staruszki załatwiły. No i cóż mieliśmy robić? Stanęliśmy na ślubnym kobiercu. Nie znając się prawie wcale, pozwoliliśmy im urzeczywistnić tę ich intrygę. Ale nie żałuję. Długość znajomości wcale o niczym nie przesądza, ważne są osobowości. Przeżyliśmy razem 56 lat. Mąż zmarł w wieku 81 lat, na zawał.

Pojechała Pani za mężem do Michowa?

W czasie wojny nie było tam bezpiecznie. Wokół lasy, a w nich partyzantka. Ale też bandy, które wychodziły nocami i załatwiały swoje porachunki. Zabito wójta, połowa wsi się paliła... A ja już byłam w ciąży, więc bałam się tym bardziej. Jedyne środki lokomocji stanowiła furmanka. Po kilkunastu miesiącach zachorowała michowska pielęgniarka na ciężką gruźlicę i mąż został w ośrodku sam. Szalała gruźlica, tyfus, kobiety rodziły, miały niebezpieczne poronienia... Wszystko zostało na jego głowie. Nie dawał rady. Przed południem przyjmował w przychodni, po południu wsiadał na furmankę i jechał w teren. Poprosił mnie o pomoc - nie odmówiłam. Czego się nie robi dla miłości.

A co Pani robiła w ośrodku?

Zostałam przez męża wyszkolona na pielęgniarkę. Nauczył mnie wszystkiego: opatrywania i zszywania ran, robienia zastrzyków, mierzenia ciśnienia, tętna i wielu innych pielęgniarskich czynności. Chłopi z wdzięczności dla doktora wykładali mu siedzenie na furmance kapami zdjętymi z łóżek, żeby nie na gołej słomie jechał, ale w nich buszowały insekty. Kiedy wracał z objazdu, wytrzępywałam mu z koszuli wszy. A w nocy stukali w okiennice ludzie z lasu, żeby jechał do rannych. Mąż był wykończony. W Michowie urodziło się nasze pierwsze dziecko. Jacuś był pięknym chłopcem. Poród odbierał mąż. Na szczęście szybko rodziłam, bez komplikacji. Wkrótce po porodzie wróciłam do pielęgniarstwa. Oczywiście pracowałam społecznie, bo przecież byłam tylko zwykłą maturzystką. W Michowie przeszłam prawdziwą szkołę życia i zawodu. Kiedy męża wcielono do II armii WP, zostałam w ośrodku całkiem sama. Wrzucona na głęboką wodę. Mąż zostawił mi dokładną listę pacjentów, a przy każdym nazwisku wskazania, co mam robić. Dziesięciotomowa encyklopedia zdrowia miała być dla mnie doradcą w różnych chorobowych przypadkach. Czego ja nie leczyłam! Pani Dudowej z piekarni wstrzykiwałam adrenalinę z glukozą, kiedy się dusiła, chłopom, których oskalpował koń kopiąc ich w głowy - precyzyjnie zszywałam rany na czaszkach... Do najbliższego lekarza było 25 kilometrów, więc musiałam leczyć dzieci i dorosłych na różne choroby. Na szczęście w Michowie mieszkała doświadczona akuszerka, pani Kordowska, więc odeszły mi porody i przypadki ginekologiczne. A leki robił starszy wiekiem aptekarz, który świetnie znał wszystkie receptury, więc i o to byłam spokojna. Żaden z pacjentów mi nie zmarł. Ciężkie przypadki chirurgiczne w porę odsyłałam do Puław. Wiele lat po wojnie mieszkańcy z Michowa przyjeżdżali do mnie i męża z receptami od innych lekarzy, żeby sprawdzić, czy leki dobre. Pamiętali o imieninach, świętach. Gratulowali, kiedy dostałam tytuł profesora. Pamiętali mi, że dla nich poświęcałam zdrowie, życie swoje i dziecka.

Jakie były losy męża w armii?

W listopadzie 1944 roku dostałam wiadomość, że mąż zachorował na ciężkie zapalenie płuc. Jego 34. pułk stacjonował koło Mórd, a żołnierze mieszkali w leśnych ziemiankach. Byłam przerażona. Zostałam synka pod opieką babki i wyruszyłam w drogę. Złapałam w Michowie radziecką ciężarówkę, kierowca zainkasował "za bilet", po czym udał się na wódkę. Wrócił na miękkich nogach, więc zrobiłam rachunek sumienia i jedziemy. Na ważniejszych skrzyżowaniach stały ruskie dziewczyny, regulowszczyki, które sprawdzały, kto jedzie i po co. Nie wolno było wojskowym samochodom przewozić Polaków. Dojechaliśmy do takiej krzyżówki, ja leżałam na platformie, a kierowca na gaz i jak rajdowiec przejechał wcale się nie zatrzymując. Dziewczyny zaczęły strzelać w koła naszej ciężarówki, ale nie trafiły. Kierowca w Lubartowie mówi: Pani wysiada. A ja nie czuję nóg! Musiał mnie wynieść. Z Lubartowa miałam jeszcze kawałek drogi do Mórd, a właściwie do wsi Sosenki Jajki, gdzie stacjonował mąż. Szłam lasem, była noc, z piersi leciało mi mleko, bo jeszcze karmiłam synka, a obok mnie szły wilki. Wokół sosny wysokie, więc nie byłoby się w razie czego na co wdrapać. Słyszałam strzały. Pojawiłam się przed wartownikiem jak zjawą. Mokra ze strachu. Mężem opiekował się sanitariusz Papakul. Sulfidyny, jedyne środki na bakteryjne choroby, mąż nie dostał, bo po drodze sprzedano go komuś choremu na rzeżączkę. Papakul stawiał mu bańki. Pomogły. Czuwałam nad mężem przez całą noc. Rano musiałam wrócić do dziecka. Wojna się skończyła. Ogłoszono zawieszenie broni, ale dywizja Hermanna Goeringa uderzyła na 34. pułk pod Budziszynem. Sanitariusze fetując zakończenie wojny buszowali po aptekach i wypijali wszystko, co pachniało alkoholem. Dwóch zatrulo się na śmierć, a pozostali byli pijani. Więc mój mąż musiał z kolegą lekarzem na własnych plecach ściągać rannych z pola bitwy. Dostał za to Krzyż Grunwaldu III klasy. 34. pułk nie wrócił od razu do domu. Generał Świerczewski zabrał go w Bieszczady. Po powrocie mąż dostał przydział do pułku saperów w Puławach. Mieszkaliśmy przy drodze na Kazimierz. Pewnego dnia nasz Jacuś wyszedł przed dom, na chodnik, z kolegą. Przejeżdżał zis - to UB jechało na akcję. Milicjanci byli pijani. Ten zis miał z boku skrzynkę na narzędzia i jakiś hak zaczepił o sweterek synka. Jacuś upadł na beton. Momentalnie został przerwany rdzeń przedłużony. Synek wyglądał jakby zasnął. Oszczędził mi Pan Bóg, że go nie przejechali. Byłam wtedy w ciąży. Gdyby nie to, nie wiem co by się ze mną stało. I dlatego wybrałam pediatrię, bo wiedziałam jak to jest, kiedy matka przeżyje własne dziecko. Już na czwartym roku studiów dostałam nakaz pracy w szpitalu dziecięcym, ponieważ nie było wtedy lekarzy. Miałam szczęście pracować pod okiem prof. Klepackiego, świetnego praktyka i wspaniałego człowieka. W tym szpitalu pracowałam do emerytury. Dwie moje córki również zostały pediatrami. Tylko syn się wylał - skończył AWF.